



SYLWIA
TROJANOWSKA

**ŻONA
NAZISTY**

MARGINESY

Niniejsza powieść jest fikcją literacką, jednak pewne zdarzenia i postaci są prawdziwe. Autorka przedstawiła je w oparciu o materiały źródłowe z zachowaniem należytej staranności.

COPYRIGHT © BY Sylwia Trojanowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Malwinie – z wdzięcznością za dziesięć literackich podróży
oraz moim Chłopcom: Tomaszowi i Alanowi

I

CORAZ MNIEJ ODDECHÓW

Szczecin, rok 2000

PRAWDY I PÓŁPRAWDY

To był jeden z tych poranków, podczas których wspomnienia dopadały mnie tak gwałtownie, że miałam ochotę zacząć życie od kieliszka wina, by jakkolwiek je ujarzmić. Wiedziałam jednak, że tego dnia muszę zachować jasny umysł, choćby miało potwornie boleć. Bo prawda, moja prawda, bywała bolesna. „Przetrwasz to – powtarzałam sobie pod nosem. – Przecież przyjechałaś tu po to, aby opowiedzieć jego historię”.

Na spotkanie z Arturem Wolnym przyszedłam o umówionym czasie. Młody dziennikarz stał przed wejściem do studia nagrań i palił papierosa. Zaciągał się nim raz za razem, jakby się spieszył albo czymś denerwował. Kiedy mnie dostrzegł, wyrzucił peta i sięgnął po odświeżacz do ust.

Pokuśtykałam w jego stronę.

– Dzień dobry – powiedział głośno, co najmniej tak, jakbym oprócz zrujnowanych kolan miała również przytępiiony słuch.

Nieznacznie skinęłam głową.

– Miło, że przyjechała pani na czas. Studio gotowe. – Zerknął na zegarek. – Zaraz możemy zacząć.

Otworzył drzwi i puścił mnie przodem.

– I jak Szczecin? Podoba się pani? – zagadnął, ale nie było to szczerze zainteresowanie, lecz sztuczna grzeczność. Przecież jedyne, na czym mu zależało, to to, bym ze szczegółami, najlepiej dramatycznymi i krwawymi, opowiedziała historię Gustawa Guderiana.

Mruknęłam twierdząco, kolebiąc się w stronę korytarza, nad którym widniał napis „Do studia”.

– A zwiadała pani trochę? Może Stare Miasto? – ciągnął beznamiętnie.

Przystanąłam, obróciłam się i hardo spojrzałam mu w oczy.

– Może umówmy się, panie Wolny, że nie musi pan mnie zagadywać, że cisza nie jest niczym złym i że nie dowie się pan o mnie niczego poza tym, co sama chcę panu opowiedzieć. Dobrze?

Mężczyzna uniósł ręce w poddańczym geście.

– Jasne, nie ma sprawy. Myślałem, że...

– To niech pan po prostu nie myśli – przerwałam mu stanowczo.

Ten człowiek potwornie mnie irytował. Niczego się nie uczył. Przecież rozmawiał już ze mną wcześniej, więc powinien wiedzieć, że nie lubię czczych pogaduszek. Zaczynałam wątpić, czy dobrze zrobiłam, decydując się na spowiedź przed tym bufonem. Gówniarzera, kompletnie niewychowany dzieciak! Ale szłam za nim, a on bez słowa otwierał kolejne drzwi. Czasami wymieniał grzeczności z mijanymi osobami. Kiedy dotarliśmy do studia nagrań, usiadłam przy owalnym stole, na krześle, które wskazał mi Wolny.

– Słuchawki. – Podał mi je. – Proszę sprawdzić, czy pasują.

– Wolę bez – stwierdziłam.

– Jak pani chce. – Usiadł naprzeciwko mnie.

Wyciągnął notatki. Było ich sporo. Rozłożył je przed sobą i powiódł po nich wzrokiem. Mruknął znacząco, po czym zaczął sprawdzać przyciski na konsoli i wymienił się spostrzeżeniami z dźwiękowcem. Wyglądał na zadowolonego.

– Możemy zaczynać – oznajmił.

– A woda? – zapytałam.

– A tak, przepraszam. Miała tu być. Zośka znowu zapomniała. Zaraz przyniosę.

Wyszedł, a ja, wiedziona jakimś tajemniczym instynktem, wstałam i podeszłam do jego stanowiska. Bezcelnie zajrzałam do roz-

łożonych notatek i... skamieniałam. Znalazłam tam pytania, całkiem trafne i sensowne, ale poraziło mnie coś zupełnie innego... Odręczne notatki. Mnóstwo odręcznych notatek.

Musi przyznać, że Guderian to kat. MUSI.

Ciśnij o tego volksdeutscha.

Męcz o morderstwa.

Nie zapomnij o tym doktorze...

Mów o podpisanych zeznaniach.

Dokumenty. Sprowokuj ją...

Było ich wiele, ale nie przeczytałam wszystkich; nie zdążyłam, bo do pokoju wrócił Artur Wolny. Kiedy zobaczył, jak sterczę nad jego zapiskami, poczerwieniał na twarzy.

– To, że zna pani pytania, niczego nie zmienia – stwierdził butnie, stawiając na stoliku szklanki z wodą.

– To, że zamierza pan iść po trupach, by udowodnić swoją bezpodstawną tezę o Guderianie mordercy Polaków, zmienia wszystko. Nie jest pan obiektywnym reporterem, na co w gruncie rzeczy miałam nadzieję, lecz subiektywnym dziennikarzyną, który szuka taniej sensacji i pragnie się wybić na nierzetelnym opowiedzeniu historii. Gustaw Guderian święty może nie był, ale na pewno nie zasłużył na to, by nazywać go zbrodniarzem.

– Dokumenty świadczą inaczej.

– Pytanie brzmi: kto te dokumenty stworzył? Nie rozważał pan tego?

– To są potwierdzone informacje.

– Przez kogo? Przez pana? Przez człowieka zaślepionego nienawiścią do Guderiana czy nawet wszystkich, w których żyłach płynie germańska krew? Nie nadaje się pan do tej roboty! Nie ma pan blado go pojęcia o uczciwym dziennikarstwie.

Zacisnął szczęki i głośno wypuścił powietrze przez nos. Ooo! Jakże był wściekły! Czulałam, że ma ochotę wypluć agresywną wiązanke

gorzkich słów, że już, już zamierza się odszczeknąć. Widziałam to w jego oczach. Pohamował się jednak, przetarł twarz dłonią i powiedział:

- Nieważne. Wszystko gotowe. Możemy nagrywać.
- Nie będzie nagrania – oznajmiłam cierpko.



Studio opuszczałam w pośpiechu. Wolny cały czas szedł obok mnie, gardłując coś o dźwiękowcu, rezerwacji, poniesionych kosztach... W końcu – o podpisanych zobowiązaniach.

– Przecież to pani zależało na nagraniu. To był pani pomysł i co? Nagle taka zmiana zdania? – mówił z wyraźną pretensją. – W ten sposób zrywa pani umowę! Właśnie! Umowa! – Zatrzymał się gwałtownie.

Ja również przystanąłam i spojrzałam na niego z ukosa.

– To się może wiązać z kosztami. Jest pani na nie gotowa?

Zgromiłam go wzrokiem.

– Potworny z pana dyletant, panie Wolny! Mówi pan o czymś, o czym nie ma pan zielonego pojęcia.

Chciał mi przerwać, wydał nawet z siebie jakiś bliżej niezidentyfikowany dźwięk, ale na więcej mu nie pozwoliłam, uciszając go zdecydowanym ruchem dłoni.

– Nie przeczytał pan umowy. Pewnie skupił się pan na paragrafie pierwszym, drugim, może dotarł do piątego – kpiłam – ale na pewno nie zna pan treści ósmego, prawda?

Nie odpowiedział, nie musiał.

– To proszę przeczytać. A na przyszłość mieć na względzie, że brak profesjonalizmu zazwyczaj wychodzi na jaw. Czasem wcześniej, czasem później. Zależy od jasności umysłu drugiej strony. Ja, choć może nie wyglądam, tę jasność na swoje szczęście, a pana nieszczęście, jeszcze posiadam.

Wolny odchrząknął i na chwilę uciekł wzrokiem, jakby w tym świetlistym korytarzu szukał sprzymierzeńca. Nikogo jednak nie znalazł, bo akurat było pusto.

Nie czekając, aż jakkolwiek się zreflektuje, ruszyłam w stronę wyjścia. Wolny jakby się ocknął i podążył za mną. Otworzył mi nawet szklane drzwi i kiedy miałam już nadzieję na opuszczenie tego miejsca, zastąpił mi drogę.

– Proszę mnie posłuchać – brzmiał łagodnie, zupełnie inaczej niż przed chwilą. – I wybaczyć to drobne... hmm... nieporozumienie... Przyznaję, mam pejoratywny stosunek do Guderiana. I wiem, że jako dziennikarz nie powinienem. Jednak jako człowiek nie potrafię zdobyć się na nic innego po tym, co o nim przeczytałem – westchnął. – Mój dziadek zginął w Auschwitz, moja ciotka i dwie niczemu niewinne siostry dziadka rozstrzelano podczas łapanek. Rozumie pani, zostałem wychowany w atmosferze nienawiści do nazistów – wyznał. – Od kiedy zacząłem wykonywać zawód dziennikarza, pragnąłem zrobić materiał o nazistowskich zbrodniach. Nie chciałem, by dotyczył oczywistych spraw, o których można przeczytać w książkach. Marzyłem, aby dokonać odkrycia czegoś wielkiego, a Guderian... To jest coś wielkiego, a przede wszystkim nieznanego. Mój dokument... On jest szeroko komentowany, poddawany analizom historycznym, a to, co pani chce powiedzieć o Guderianie, jednym z tych cwanych nazistów... Niezależnie od tego, czy chce go pani wybielić czy oczernić... Rozumiem, że to pierwsze. – Popatrzył na mnie, oczekując potwierdzenia, ale nawet powieka mi nie drgnęła. – Pani zeznanie byłoby kapitalnym uzupełnieniem opowieści o człowieku, który ma krew na rękach. Bo ją ma, oboje to wiemy. Ja naprawdę chętnie wysłucham pani opowieści i... I nie będę na nic naciskał. Zrobi to pani po swojemu.

Spuściłam głowę i spojrzałam na czubki swoich wypolerowanych butów. Świeciły jak dawniej, jak wtedy, gdy spacerowałam alejami Grabower Anlagen* albo gdy szłam na potańcówkę do Haus

* Grabower Anlagen (niem.) – obecnie Park im. Stefana Żeromskiego.

Ponath*. Gdy mieszkałam w Stettinie**, moje buty zawsze były lśniące jak lustro. Wcześniej też o nie dbałam, ale dopiero w tym nadodrzańskim mieście – sama to zauważyłam – robiłam to nazbyt przesadnie.

– Proszę pani? – Artur Wolny wyglądał na zatroskanego. Ten wyraz twarzy zupełnie do niego nie pasował. – Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście. Ale nie, nie potrafię teraz wrócić do studia. Mam w głowie chaos.

– To może jutro, pojutrze? Dopasuję się.

– Pan się dopasuje?

Skinął głową.

– Pomyślę, a tymczasem...

– Odwiozę panią – zaproponował.

Zdziwił mnie tą przesadną uprzejmością. Nie ufałam mu. Chyba nigdy nie zasłużyłby sobie na moje zaufanie.

– Proszę sobie darować te uprzejmości. Przyjechałam sama i sama wrócę. A do pana odezwę się z odpowiedzią. Jutro. Albo za kilka dni.

– To chociaż wezwę dla pani taksówkę. Jaki adres?

A więc chodziło mu o to, by – jeślibym się nie odezwała – mieć jakikolwiek punkt zaczepienia. Cwany lis! Nie wiedziałam, czy myślał o tym, by przyjechać pod wskazany adres i walić w drzwi, aż je otworzę, czy o tym, by nasłać na mnie kogoś innego, bardziej przekonującego, wzbudzającego sympatię. Obydwa rozwiązania wydawały mi się absurdalne, ale wcale nie mało prawdopodobne. Wolnego zaliczałam bowiem do ludzi, którzy w imię swych celów są gotowi na wszystko. Znałam ten typ bardzo dobrze...

* Haus Ponath (niem.) – dawniej obiekt rozrywkowy, obecnie z przeważającą funkcją handlową (CH Kaskada).

** Stettin (niem.) – Szczecin.

– Do widzenia panu – rzuciłam i wyminęłam mężczyznę, który wpatrywał się we mnie z lekko rozchylonymi ze zdumienia ustami.

PRZYJACIEL

Wieczorem zasiadłam przy oknie. Było prawie idealnie. Brakowało mi jedynie znajomych dźwięków: restauracyjnego gwaru, brzęku szklanek, pokrzykiwań wstawionych turystów i stukotu końskich kopyt. Jak w Krakowie.

Z kieliszkiem wina w dłoni i przy jazzowej nucie puszczonej w radiu wpatrywałam się w jeden punkt, w miejsce, w którym kiedyś znajdował się Teatr Miejski. Zmierzchało, ale ja oczyma serca widziałam go w promieniach słońca. I tęskniłam za jego murami i zaułkami, skrywającymi moje tajemnice.

Po wypiciu dwóch kieliszków wina poczułam oszołomienie i rozluźnienie. W końcu myśli o nieudanym spotkaniu z Wolnym ucichły. Jeszcze nie podjęłam decyzji, kiedy do niego zadzwonię, ale wiedziałam, że to zrobię. Chciałam to zrobić.

Wstałam i podeszłam do kanapy. Nocny stolik oświetlała lampa z czerwonym abażurem, mocno nadszarpniętym zębem czasu. Ciężko opadłam na siedzisko, które stęknęło niemal tak głośno jak ja. Sięgnęłam po telefon. Był w tym samym kolorze co abażur i przez moment nawet pomyślałam, że ktoś o tę spójność specjalnie się postarał. Wybrałam numer i cierpliwie czekałam. Mój rozmówca odebrał, kiedy już miałam odkładać słuchawkę.

– Tomasz Redmer, słucham.

Mmm... Lubiłam ten jego ciepły, pełen ufnej akceptacji głos. Nie miał pojęcia, kto do niego dzwonił, ale i tak zawsze witał się z sympatią.

– Dzień dobry, Tomaszu – odezwałam się.

– O! W końcu! Nie mogłem się doczekać wiadomości od ciebie. Wszystko dobrze? Jesteś zadowolona?

– Zadowolona? Daj spokój. Byłabym, gdyby grali mi *Marsza pogrzebowego*.

– Czyli zadowolona – stwierdził, a ja pokiwałam głową.

Tomasz znał mnie dobrze. Byłam usatysfakcjonowana: odwiedziłam miasto duchów, wsłuchałam się w jego puls, jakże inny od tego krakowskiego. Odkurzyłam wspomnienia i odważyłam się pa-trzeć tam, gdzie mój wzrok miał już nigdy nie sięgać.

– A jak u ciebie?

– Dowiesz się, kiedy przyjadę.

– Chcesz przyjechać? – palnęłam bezmyślnie i natychmiast, nie czekając na odpowiedź, rzuciłam stanowczo: – Nie! Nie rób tego! Nie przyjeżdżaj. Chcę być sama. Potrzebuję tej samotności.

– Na pewno?

– Dawno niczego nie byłam tak pewna.

Pochrząkiwał, szukając odpowiednio dyplomatycznych słów, przez które nie poczułabym się jak dziecko.

– Wedle życzenia – powiedział w końcu. – Po prostu pomyślałem, że chciałabyś mieć towarzystwo w obcym mieście. Choćby ramię jakiegoś dziarskiego kawalera – roześmiał się, ale chyba na siłę – by nie obawiać się spacerów. No wiesz, potknięcia o jakiś nierówny chodnik.

– Kiedy wrócę do Krakowa, chętnie z ramienia tegoż kawalera skorzystam.

– No dobrze, dobrze. Zawsze byłaś uparta. Bo wiesz... Ja bym nie miał nic przeciwko wyprawie do Szczecina.

– Tomaszu, proszę.

Znał mnie na tyle dobrze, że wiedział, iż dalsza dyskusja nie ma sensu. Podjął więc temat, który należał do najbezpieczniejszych. Rozmawialiśmy o pogodzie, a raczej o niemiłosiernych upałach w Krakowie i o całkiem przyjemnej aurze w Szczecinie. Potem

Tomasz rozwodził się nad wnukami, a ja po raz tysięczny poczułam ukłucie zazdrości.

Kiedy skończyliśmy, nalałam sobie kolejny kieliszek wina i wypijałam go duszkiem, a potem z sekretnej przegródki w portfelu zdecydowanym ruchem wyciągnęłam czarno-białą fotografię, przymknęłam oczy i znowu wybrałam się w podróż śladami wspomnień.

II

NA ZACHODZIE RODZI SIĘ NADZIEJA

Stettin i okolice, rok 1939

NOWA TOŻSAMOŚĆ

Anna Łabędź nie chciała czuć się dobrze w Stettinie, w pięknym, majestatycznym Stettinie. Pragnęła znienawidzić to miasto z szerokimi alejami i wielkimi placami, a parkami tak rozległymi, że nie sposób było z jednego krańca dostrzec drugiego. Miasto ze szpalerami kamienia, których architektura przywodziła jej na myśl paryskie kadry widziane w albumach. Miasto żyjące w zgodzie z rzeką, w którym spokój, śmiech i zwykłe, zwyczajne życie tworzyły mieszkankę dla niej nie do zaakceptowania. Przecież kilkaset kilometrów dalej szalała wojna, ludzie walczyli, ginęli, umierali ze strachu. A tu? Tu czuć było jedynie lekkie podenerwowanie; owszem, toczyły się rozmowy, dyskusje o wojnie, ale nikt nie płakał, nie panikował. Albo prawie nikt. Łzy ronili tylko ci, którym ta daleka wojna kogoś odebrała. Tu nikt się nie obawiał, że może zginąć na ulicy, że ktoś go zastrzeli, wtargnie do jego domu i odbierze mu wolność. Nikt nie przemykał między kamienicami, nie krył się po piwnicach. Nikt nie nasłuchiwał wystrzałów i nie kulił się pod łóżkiem, myśląc o jutrze. Stettin był w oczach Anny oazą spokoju. I dlatego chciała go nienawidzić, ale... nie potrafiła. Mimo flag ze swastyką, mimo plakatów z wizerunkiem Hitlera, mimo run na niemieckich mundurach... Nie potrafiła, bo Gustaw o to zadbał. Dał jej poczucie bezpieczeństwa, otoczył szalem utkanym z nitek troski, szacunku i miłości, zadbał, by nie pogrzyżyła się w nienawiści do miasta, które wybrał dla niej na azyl.

Pomimo tego słabo sypiała. Czasami przez całą noc nie zmrużyła oka. Chodziła wtedy po mieszkaniu od okna do okna i wyglądała na

ulicę, jakby kogoś wypatrując. Tylko kogo? Gustaw czuwał nad nią, ale nie robił niczego na siłę, nie zmuszał, do niczego nie namawiał. Czuł, że Anna potrzebuje czasu, że musi pozwolić jej wszystko sobie poukładać, by przywykła do nowego miejsca, nowego życia, nowej roli, a nawet, a może przede wszystkim, do obrączki i nowego nazwiska.

Była przecież Anną Guderian, choć stała się nią w okolicznościach, których nigdy nie brała pod uwagę.



Gustaw przyjechał po nią do rodzinnego Fordonu dokładnie w chwili, gdy jej świat legł w gruzach, gdy została sama, samusienka, gdy jej najbliżsi stracili życie podczas bestialskiej egzekucji. Przyjechał i obiecał ją uratować. Pamiętała jego słowa: „Zabiorę cię tam, gdzie będziesz bezpieczna. Zabiorę cię do Stettina”. Zgodziła się, choć to miasto знаła tylko z jego opowieści. Musiało jej jednak wystarczyć. Zresztą nie zastanawiała się nad tym. Uciekała, by ratować życie.

Gustaw wręczył jej dokumenty na nazwisko Anny Schmidt i polecił przyswoić wszystkie fakty z życia nieznaney jej kobiety. Choć nauka wcześniej przychodziła jej z łatwością, teraz nie potrafiła się skupić. Jakże bowiem miała myśleć o datach, imionach, miejscach, o czymkolwiek, kiedy w głowie przewijał się film z mordowania jej rodziny? Musiała jednak się przemóc. Wykonała polecenie Gustawa, a on przepytął ją dokładnie, jak na przesłuchaniu. Precyzyjnie zadawał pytania, punktował błędy. Znał wszystkie odpowiedzi, zapewne sam wcześniej wyuczył się ich na pamięć. Głęboko odetchnął, kiedy po kilku próbach Anna odpowiedziała na każde pytanie bez najmniejszego zawahania i pomyłki.

– To ważne, byś dobrze znała swoje alter ego. W końcu od dzisiaj jesteś Niemką – stwierdził. – Choć w pewnym sensie tylko na moment. Nie mogę zabrać pod swój dach Anny Schmidt. To byłoby niemoralne i niedopuszczalne na moim stanowisku. Ale Annę Guderian i owszem.

Zatrzymał samochód na poboczu, ujął dłoń Ani i spojrzał jej głęboko w oczy.

– To nie jest dobry moment, ale innego nie będzie. – Wręczył jej jakąś kartkę.

Rozłożyła ją i przeczytała, najpierw pobieżnie, a potem raz jeszcze, uważnie.

– Ale jak to? Jesteśmy małżeństwem?

– Jeśli mam cię chronić, to tak. Musisz stać się moją żoną. Z urzędu.

Nie mogła oderwać wzroku od dokumentu i od swojego nowego nazwiska: Guderian.

– Ten dokument... To, że jesteśmy według niego małżeństwem, to niczego między nami nie zmieni, obiecuję. To tylko formalność, która pozwoli mi cię chronić. Dla mnie cały czas będziesz Anną Łabędź, ale dla wszystkich dookoła Anną Guderian, z domu Schmidt.

– Rozumiem – powiedziała spokojnie.

– A jeśli kiedykolwiek zapragniesz naprawdę stać się moją żoną, to tak się stanie. Zaczekam tyle, ile będziesz potrzebowała.

Z wewnętrznej kieszeni Gustaw dobył materiałową sakiewkę i wyjął z niej dwie złote obrączki.

– Mogę? – zapytał, chcąc wsunąć mniejszą na palec Ani.

Podąła mu dłoń.

– Musimy zachować wszelkie pozory. Musimy dobrze udawać – stwierdził.

Wsunął jej obrączkę na palec, a potem drugą na swój.

Ania uważnie przyjrzała się dłoni. Ileż razy marzyła o tym lśniącym na palcu cudeńku, które oznajmiałoby światu, że oto na jej drodze stanął niezwykle mężczyzna. Jej mężczyzna, jedyny do końca życia, ten, którego sobie wybrała. Dokładnie tak myślała. Nigdy na odwrót. Bo to ona chciała wybierać, ona chciała decydować o tym, za kogo wyjdzie za mąż.

Nagle przypomniała sobie ich ślubowanie. To, jak na fordońskiej łące Gustaw wrzucił ją przysięgą małżeńską, którą wypo-

wiedział łamaną polszczyzną. To, jak patrzył na nią, jak szklily mu się oczy.

– Wcale nie musimy udawać. Przecież... My już sobie ślubowaliśmy.

– Wiem, ale to były zupełnie inne okoliczności, Anno. I pomyślałem, że... – Spróbował się uśmiechnąć, jednak wyszło to niezdarnie.

– Marzyłam o tym, by być twoją żoną, i kiedy wypowiadałam przysięgę, robiłam to z pełnym przekonaniem. Teraz jestem rozdarta, a przed oczami widzę tylko zło, lecz... Wcale nie muszę udawać, że jestem twoją żoną. Mogę po prostu spróbować nią być. – Ściągnęła z jego palca obrączkę, którą przed momentem sam sobie założył, ucałowała ją i ponownie wsunęła na jego palec. – Na dobre i na złe. W zdrowiu i w chorobie. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

– Dopóki śmierć nas nie rozłączy – powtórzył i z szacunkiem złożył pocałunek na jej dłoni.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

– Musisz mi jednak pomóc w byciu... Niemką – odezwała się w końcu Anna, z trudem wypowiadając ostatnie słowo. – Z tym mogę mieć większy problem.

– Pomogę, ale pamiętaj, musisz być nią tylko na zewnątrz, dla innych. Ja chciałbym, byś pozostała Anną Łabędź, Polką, którą pokochałem. Wojna się skończy, mam nadzieję, że wkrótce, a wtedy ta cała maskarada nie będzie nam już potrzebna. To tylko na chwilę. Na chwilę, kochanie.

Ania wtuliła się w Gustawa i w tym mocnym splocie, w którym czuć było i miłość, i oddanie, i zgodę na bycie razem mimo wszystko, trwali do momentu, aż z naprzeciwnika nadjechała ciężarówka i oślepiła ich światłami.



W drodze mało rozmawiali, Ania głównie spała, a raczej udawała, że śpi. Nie płakała. Nie miała już siły, nie miała łez.

Próbowała ułożyć sobie wszystko w głowie. Ale czy to w ogóle było możliwe – nowe życie? Na razie nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Tyle zła wydarzyło się w ciągu ostatniej doby, i to takiego, którego nie dało się niczym wytłumaczyć. Zła, które ludzie wyrzadzili ludziom. Pośród tego zła były też okruchy dobra. Jak Gustaw, jej... mąż.

Nie wiedziała, co ją czeka w Stettinie, ale jednego była pewna – mężczyzna, który siedział obok, był dla niej w tej chwili jedynym ratunkiem. Musiała się go chwycić i w pełni mu zaufać, zwłaszcza na tak nieznanym morzu, jakim był Stettin.

TO NOWE MIASTO

Stettin powitał ich nawet wdzięcznie, bo promieniami słońca. Jechali szerokimi alejami, gdzie na jasnych ciałach kamienic niczym znamiona pstrzyły się niemieckie flagi. Ania wpatrywała się w chodniki, po których bez pośpiechu przechadzali się ludzie. Rozmawiali, palili papierosy, zatrzymywali się, by kupić gazetę, czytać anonse, podziwiać witryny. To był inny świat, a ona podskórnie czuła, że zupełnie nie był jej...

– Pamiętaj, by nigdy z nikim nie rozmawiać o swojej przeszłości. W żadnym obcym pomieszczeniu, nawet gdybyśmy byli tam tylko we dwoje, nie wolno ci o niej wspominać. Nigdy. Możesz mówić i pisać tylko po niemiecku. Musisz się pilnować, bardzo, a najlepiej, przynajmniej na początku, mało mówić.

– Tak. Rozumiem – powiedziała, choć chyba nie zdawała sobie sprawy, co ta deklaracja tak naprawdę oznacza.

Gustaw zaparkował przed elegancką kamienicą przy König-Albert Strasse*. Brama wejściowa ze szprosami z motywami roślinnymi przywodziła Ani na myśl te, które widywała w Bydgoszczy na najlepszych ulicach. Wyglądała bardzo wytwornie i Anna w zetknięciu z nią poczuła się mała i kompletnie obca. To miejsce ani odrobinę nie przypominało jej znajomych fordońskich zabudowań. Nie biło zeń znajome ciepło, a jedynie wyniosłość.

– Poczekaj. Otworzę ci drzwi.

* König-Albert Strasse (niem.) – obecnie ulica Śląska.

– Nie musisz.

– Muszę. Ludzie patrzą, a nie chciałbym, byśmy od razu znaleźli się na językach. Zachowujmy się tak, jak zwyczajowo zachowują się inne małżeństwa, dobrze?

Zgodziła się, a kiedy wysiadła, od razu pojęła, że Gustaw miał rację. W oknie na pierwszym piętrze natknęła się bowiem na ciekawskie spojrzenie.

Gustaw również dojrzał starszą, siwowłosą kobietę i niejako w odpowiedzi na jej zaciekawienie szarmancko ujął dłoń Ani i ledwie dotknął jej wargami.

– Cały czas ktoś będzie patrzeć – szepnął. – Dla niektórych to jedyne zajęcie. Muszą do ciebie przywyknąć, a ty musisz wtopić się w krajobraz. Wtedy przestaną cię zauważać.

Kiedy przeszli przez bramę, Ania zatrzymała się i utkwiała spojrzenie w sklepieniu, na którym ktoś bardzo wiarygodnie odzwierciedlił farbami błękit letniego nieba.

– To ponoć najpiękniejsze sklepienie na całej ulicy – stwierdził Gustaw. – Tak mówi pani Handtke spod szóstki. Jej syn namalował to kilka miesięcy temu. Jeślibyś z nią rozmawiała, pochwal. Zyskasz wówczas jej przychyłność.

– Pochwalę z przyjemnością – stwierdziła zachwycona, nie odrywając wzroku od malowidła.

– I koniecznie zagadnij o syna. Jest z niego bardzo dumna, bo jako pierwszy z naszej kamienicy oddał życie za ojczyznę.

Natychmiast oderwała wzrok od sklepienia.

– Co?

– Tu żyją sami niemieccy patrioci – wyjaśnił jej szeptem. – Niemal z każdej rodziny ktoś poszedł na wojnę, walczy albo już nie...

– I ja mam tu mieszkać? – zapytała równie cicho.

– Najciemniej pod latarnią, nie wiedziałaś?

Na pierwszym piętrze natknęli się na staruszkę, którą wcześniej widzieli w oknie. Kobieta przedstawiła się, Ania jednak nie była w stanie odpowiedzieć tym samym, nie potrafiła wydobyć z siebie

najprostszych słów. Zrobił to za nią Gustaw, a ona jak zahipnotyzowana wpatrywała się w niego, kiedy z lekkością mówił: Anna Guderian, moja żona.

– A więc to jest ta pana wybranka serca? – zagadnęła sąsiadka, nie odrywając wzroku od Ani. Przyglądała jej się, jakby dziewczyna stanowiła rzadki muzealny eksponat. – Nie szepnął pan o niej ni słowa, panie Guderian. W tajemnicy taaaki skarb trzymać?

Złapała Anię za lodowatą dłoń, poklepała po niej i cicho, jakby zdradzała jakąś tajemnicę, powiedziała:

– Miałam trzech mężów i akuszerką byłam. Jakby trzeba pani jakiejś porady małżeńskiej, proszę przyjść. Służę pomocą, bo znam się na tych sprawach. Dobrze się znam.

Ania uprzejmie potaknęła.

– Dziękuję za chęć pomocy, pani Koch, ale musimy już iść – wtrącił się Gustaw. – Żona jest zmęczona po podróży.

– A tak, tak... Przepraszam, panie Guderian, najmocniej przepraszam. – Kobieta spuściła wzrok i wycofała się w głąb mieszkania, zamknąwszy za sobą drzwi.



Kiedy weszli do mieszkania, uderzył ich zapach kiszonych ogórków.

– Przepraszam. Wychodziłem w pośpiechu i musiałem zapomnieć zakręcić słoik. Zazwyczaj mi się to nie zdarza.

Ania nie zareagowała. Lubiła zapach kiszonek. Przecież kojarzył jej się z domem, z mamą.

– Oprowadzę cię, chcesz?

Potaknęła.

– I... z góry przepraszam za nieporządek – powiedział, kiedy z przedpokoju weszli do kuchni. – Nie mam służącej, a nie zdążyłem posprzątać – tłumaczył się, choć całkiem niepotrzebnie.

Wszędzie bowiem panował idealny ład. Żadnych śmieci, okruszków, porozrzucanych ubrań, otwartych komód, niedomkniętych

szaf. No, może poza słoikiem z ogórkami i dwoma talerzami w zlewie. Ale Ania nigdy nie nazwałaby tego nieporządkiem.

Mieszkanie Gustawa zdawało się większe od rodzinnego domu Łabędziów. Tak. Od razu porównała je z fordońską lichą chałupą, którą mimo braków jakichkolwiek luksusów i tak kochała nade wszystko. Tutaj panował przepych, do którego nie nawykła. Dostrzegła lakierowane meble w kolorze orzecha i włoskie dywany, tak miękkie jak świeży mech. W sypialni łożo z baldachimem, stolik z finezyjnie giętymi nogami i dwa fotele obite cielęcą skórą. We wszystkich oknach firany gęsto marszczone i tak eleganckie, że poczuła się zawstydzona splendorem, jaki wprowadzały do wnętrza. Do tego lodówka... Lodówka! I duże radio ze złożonymi pokrętłami oraz gramofon z kolekcją płyt.

– Nudzę cię? – zagadnął.

– Nie. Nie o to chodzi, Gustawie. Jestem... Jestem zauroczona twoim mieszkaniem i szczerze mówiąc, odrobinę nim przytłoczona. Tu jest jak w pałacu.

– Myślisz? Nigdy tak na to nie patrzyłem. – Powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. – Po prostu przejąłem mieszkanie po moim poprzedniku. Mam nadzieję, że będziesz tu szczęśliwa – dodał z przekonaniem, a ona pokiwała głową, choć nie do końca umiała to sobie wyobrazić.

Czuła jakiś chłód bijący z tego wyniosłego i sterylne wnętrza.



Wiedziała, że aby nie wzbudzać podejrzeń, musi uśmiechać się do sąsiadów. Musi grać szczęśliwą Niemkę z Rigi*, która zaczyna nowe życie w ramionach przykładnego obywatela Trzeciej Rzeszy. Musi to robić, by przetrwać. I robiła. Zagadywana, odpowiadała uprzejmie, ale bez wylewności. Kiedy czegoś nie rozumiała albo nie potrafiła nazwać, a czasami się to zdarzało, konsternację tuszowała

* Riga (niem.) – Ryga.

skromnym uśmiechem bądź kaszlem, co korpulentna pani Koch, najbardziej wścibska i rozgadana sąsiadka, brała za oznakę astmy i za każdym razem odsyłała ją do swojego lekarza płucnego. Innej przyczyny niż choroba nie mogła brać przecież pod uwagę.

Czasami Ania rozmawiała też z panią Handtke. Głównie o chmurach, bo ta smutna kobieta nie znajdowała innego tematu do rozmów.

– Mój syn od małego kochał niebo i je malował – powiedziała raz, gdy stały na parterze i patrzyły na wymalowane sklepienie. – Mam nadzieję, że jak oddawał życie za ojczyznę, to też patrzył w górę.

Zdarzało się, że ktoś do niej zachodził, podpytując o zdrowie (pani Koch bez cienia zażenowania rozsiewała plotki o dręczącym ją kaszlu), samopoczucie, przynosząc kawałek strucli lub mały garnek z eintopfem*. Dbali o nią, jakby była członkiem ich rodziny, a może dlatego, że w szczególny sposób traktowali Gustawa? Od razu zauważyła, że darzą go szacunkiem, a niekiedy wydawało jej się, że schodzą mu z drogi.

– To przez nazwisko. Czują respekt do mego stryja – odpowiedział, gdy pytała go o powód.

Ania wychodziła z domu głównie z Gustawem. Sama rzadko. I wcale nie ze strachu o siebie, o dokumenty, które notabene wyglądały na prawdziwe, ani o to, że ktokolwiek mógłby rozpoznać w niej Polkę. Nie znała w Stettinie nikogo, nigdy tutaj nie wizytowała, a przed poznaniem Gustawa niewiele słyszała o tym mieście. Czuła się tu zupełnie obco, a zatem była idealna, by grać przybyszkę z odległego Wschodu. Poza tym rzadko opuszczała mieszkanie z innego powodu. Bała się, że widząc na ulicy polskich robotników przymusowych, stygmatyzowanych plakietką z literą P, mogłaby niewłaściwie zareagować, podejść do nich albo po prostu gapić się na nich – jak w dzieciństwie, kiedy do Fordonu przyjeżdżali kuglarze, a ona nie potrafiła oderwać od nich wzroku. To na pewno

* Niemiecka tradycyjna potrawa jednogarnkowa, najczęściej z mięsem, ziemniakami i innymi warzywami.

nie uszłoby uwadze Niemców, a przecież chciała – musiała – być przezroczysta. Bała się też, że słysząc uliczne dyskusje o słuszności wojny, o podłości Polaków i wspaniałomyślności Hitlera, mogłaby zrobić coś głupiego, nawrzucać komuś po polsku i zaszkodzić sobie, i przede wszystkim Gustawowi. A tego nie chciała. O niego bała się nawet bardziej niż o siebie. On już wystarczająco się dla niej narażał, każdego dnia. Przecież ukrywał ją, Annę Łabędź, przed całym światem. W niemieckich murach chronił Polkę. Za to groziła mu kulka między oczy. Sam fakt, że w jakiś tajemniczy sposób zdobył dla niej dokumenty Niemki, która w rzeczywistości, wynosząc się z Rigi, zginęła w nieszczęśliwym wypadku samochodowym, był dla niej dowodem jego wielkiego oddania.

Czasami myślała o Annie Schmidt, nawet miała wyrzuty sumienia, że zabrała jej tożsamość.

– Dałaś jej drugie życie – tłumaczył łagodnie Gustaw, kiedy podzieliła się z nim swoimi wątpliwościami. – To przecież lepsze od niepamięci, prawda?

– Ale jej rodzina na pewno się o nią martwi.

– Rodzina zginęła wraz z nią. To ich dokumenty dla was wiozłem. Wtedy... Samochód Schmidtów od kilku dni leżał w rowie. Nie było dla nich żadnego ratunku.

– Straszne...

– Cały ten świat jest teraz straszny.



Był dla niej dobry. Kochał ją. Czowała to każdego dnia. Nikt nigdy się tak bardzo o nią nie troszczył. W rodzinnym domu zawsze wyczuwała miłość, wszyscy byli bardzo mocno związani, poszliby za sobą w ogień, ale jednocześnie każde z nich żyło swoim życiem. A tu, przy Gustawie, Ania odnosiła wrażenie, że to ona jest dla niego całym życiem. Kochała go, tak, ale ta jej miłość się zmieniała. Dużo ze sobą rozmawiali, razem słuchali radia, jedli posiłki, spacerowali. Razem sypiali, choć to razem było zupełnie inne niż kiedyś.

Gustaw był cierpliwy i na nic nie naciskał, niczego od niej nie wymagał, poza tym, by dbała o pozory. Wychodząc do pracy, żegnał się cmoknięciem w policzek i krótkim „kocham cię”. Po powrocie, ujmował jej dłoń, całował i pytał: „Tęskniłaś?”

Nie tęskniła, choć nigdy mu się do tego nie przyznała. Kiedy znikał za drzwiami, zatapiała się w ponurym wspomnieniu, pełnym krzyków, strzałów i ciemnych barw. Utrata bliskich, ucieczka z rodzinnego Fordonu, wojna były tak traumatyczne, że nawet wielkie, odwzajemnione uczucie nie cieszyło jak dawniej. Czasami w głowie Ani pojawiała się myśl o ucieczce ze świata, do którego zabrał ją Gustaw. Ale gdzie byłaby bezpieczniejsza? Zdawało jej się, że nigdzie. Może jedynie tam, w rowie na stoku góry. Martwa, ale z nimi... Teraz jednak nie mogła już tam uciec.

Została, mając w pamięci list od swojego ukochanego ojca i zdanie: „Zaufaj mu, bo być może on będzie jedyną przepustką do życia, a Ty musisz żyć, jakeś Łabędź”, które stało się dla niej swoistym kompasem, życiowym imperatywem. Traktowała ów list jak testament, a prośbę ojca jak jego ostatnią wolę, której nie wolno było się przeciwstawić. Musiała więc żyć.

Guderian zdawał sobie sprawę, jak ważna była dla niej rodzina. Ojciec, bracia i przyszła bratowa, Jola. Ania straciła wszystkich, których kochała, ale przecież miała jego.

– Będziemy tu szczęśliwi. Zobaczysz, z czasem wszystko się ułoży – deklarował, choć widział w jej oczach niepewność i jakiś nieopisany żal.

Czas jednak nie koił jej ran, a ona nikła w oczach.

Musiał coś zrobić.

I zrobił.